

kach-kolaborantach w tym instytucie zatrudnionych. Artykuł nie miał budzić zainteresowania czytelnika i tym samym poinformowania go, lecz obliczony był na szukanie taniej sensacji *par force*.

Artykuł we „Wprost”, uwaga: nie książka Rybickiej, wywołał niezwykle oburzenie krakowskiego środowiska Polskiej Akademii Umiejętności i zrośniętym z nim mocnymi korzeniami środowiska Uniwersytetu Jagiellońskiego. Sąd nad książką (nie artykułem) odbył się w krakowskiej siedzibie Polskiej Akademii Umiejętności już 11 kwietnia 2003 r., a więc dwa tygodnie po artykule we „Wprost”. Pisze o tym krótko dr Rybicka w publikowanym niżej liście do Redakcji „Tygodnika Powszechnego”.

Wspomniana dyskusja kwietniowa w gmachu PAU w Krakowie przeniosła się na łamy „Tygodnika Powszechnego” i jego nieznanej mi strony internetowej. Dyskusja trwała od 25 maja 2003 r., po czym „TP” publikował listy czytelników nie wnoszące nic nowego do sprawy. Jeszcze jednak 31 sierpnia 2003 r. opublikowano w „Tygodniku” artykuł pt. *Sabotaż w Ost-Institut. Działalność prof. Władysława Semkowicza w Instytucie Niemieckiej Pracy Wschodniej*, pióra Henryka Rutkowskiego oraz notę pt. *Protokół rozbieżności* sprawozdający dyskusję jaka na rzezonny temat opublikowana została w sierpniowym (2003) numerze „Mówią Wieki” (pominięto jednak w tym omówieniu obszerne stanowisko Redakcji „MW”). Po czym, aż do 5 października 2003 r., z długimi przerwami, publikowano nie wnoszące nic nowego listy czytelników, w tym jednak list prof. Ireny Bajerowej („TP”, 22 lipca 2003 r.) jedyny, krytycznie oceniający pracę uczonych polskich w rzezonym Instytucie, oddzielający tę czynność od udziału profesorów UJ (w tym zatrudnionych w *Ost-Institut*) w tajnym nauczaniu. Prof. Bajerowa broniła przy tym Krakowa przed krzywdzącymi to miasto uogólnieniami o kolaboracyjnym charakterze. Dodajmy: w intencji Autorki inkryminowanej książki nie leżał zamiar krzywdzenia Krakowa lub Krakowian, lecz jedynie ukazanie na podstawie współczesnych okresowi okupacji i pierwszych miesięcy powojennych źródeł niemieckich i polskich – bardzo nielicznych przejawów kolaboracji elity intelektualnej Krakowa. Coś takiego nie ominęło również Warszawy, a w szczególności Lwowa, było więc zjawiskiem ogólnopolskim. O Warszawie i Lwowie pisze w swej książce dr Rybicka.

Łącznie „Tygodnik Powszechny” opublikował w dyskusji na jego łamach wiele artykułów i listów czytelników (nie licząc strony internetowej), w tym list promotora pracy dr Rybickiej, niżej podpisanego. Dyskusję kończy list czytelnika w numerze 40 z 5 października 2003 r.

Prezencja *Ost-Institut* na łamach „Tygodnika Powszechnego” od 25 maja do 5 października 2003 r. nie objęła jednak odpowiedzi dr Anetty Rybickiej, która swój list wysłała do Redakcji „Tygodnika Powszechnego” 30 czerwca 2003 r. Odpowiedzi tej Redakcja więc nie opublikowała, z czego nie należy czynić jej zarzutu. Tekst listu dr Rybickiej publikowany jest poniżej, bowiem przyszły badacz kolaboracji z okupantem niemieckim i dyskusji o niej kilkadziesiąt lat „po” nie powinien być pozbawiony kończącego praktycznie tę dyskusję argumentów osoby najbardziej zainteresowanej: Autorki książki o *Institut für deutsche Ostarbeit*.

Marian Wojciechowski

Warszawa, 8 października 2003 r.

## O KOLABORACJI. W ODPOWIEDZI MOIM POLEMISTOM

Moja książka *Institut Niemieckiej Pracy Wschodniej. Institut für deutsche Ostarbeit. Kraków 1940-1945* (Warszawa 2002, 196 ss.) jest nieco zmienionym tekstem rozprawy doktorskiej obronionej na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego w 2001 roku. Praca ta stała się przedmiotem bardzo ożywionej dyskusji, niekiedy nie przebiegającej w słowach. Jej przyczyną była nie działalność hitlerowskiego Instytutu, ale liczący 16 stron (9% tekstu) rozdział *Polacy w Instytucie*. Dyskusja toczyła się 11 kwietnia 2003 r. w gmachu Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie. Za radą Promotora nie

uczestniczyłam w tym spotkaniu; mój Promotor był po ciężkiej operacji i nie mógł przybyć do Krakowa. Kolejna dyskusja toczyła się 16 maja w Warszawie, zorganizowana przez Zakład Historii XX wieku Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego. W tym spotkaniu brałam udział. Dyskusja toczyła się i toczy się nadal na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Postawiono mi szereg zarzutów, a w szczególności, że Polacy pracujący w inkryminowanym Instytucie nie byli kolaborantami; że na ich pracę w Instytucie zezwalały ówczesne niewątpliwe autorytety (prof. Stanisław Kutrzeba – prezes PAU, prof. Władysław Szafer – światowej sławy botanik, rektor UJ w roku akademickim 1937/38, faktyczny rektor podziemnego Uniwersytetu Jagiellońskiego podczas okupacji niemieckiej). Stwierdźmy, że w takich sprawach – dla ludzi dorosłych – autorytetem jest własne sumienie. Zarzucono mi również, że bezkrytycznie podeszłam do źródeł niemieckich, na których przede wszystkim bazuje moja książka, że więc niemieccy pracownicy Instytutu chwalili (tak pisałam) polskich pracowników, ale nie mieli ku temu powodów – chcieli bowiem tylko „pochwalić” się przed przełożonymi i uzasadnić, że Polacy są potrzebni, a oni – ich szefowie – muszą pozostać w Instytucie i nie iść tym samym „na front” itp.

Łamy „Tygodnika Powszechnego” są zbyt wąskie, bym mogła moją odpowiedź potraktować wyczerpująco. Myślę jednak, że po serii krytycznych listów i jednego artykułu Aleksandra Litewki mam prawo – jako autorka inkryminowanej książki – do drukowania na łamach „TP” częściowej chociaż odpowiedzi. Pierwszy etap dyskusji na łamach „TP” (25 maja 2003 r.) obejmował półtorej kolumny. „TP” słynie zresztą z tego, że zamieszcza odpowiedzi na krytykę, listy polemiczne itp., co go bardzo korzystnie wyróżnia od innych tygodników i dzienników.

Nigdy nie sądziłam, że moja rozprawa doktorska jest doskonała i tym samym wolna od krytyki. Przyjęłam ją więc (chodzi w tym wypadku o łamy „TP”) z satysfakcją i wnioski z tej krytyki – jeśli je uznaję za słuszne – wysnuję. Moje zdumienie wzbudziło jednak ograniczenie krytyki, a czasem słów obraźliwych pod adresem Promotora mojej pracy i moim, tylko do jednego, krótkiego rozdziału książki. Działalność Instytutu Niemieckiej Pracy Wschodniej nikogo nie interesowała.

Pisząc o polskich uczonych w Instytucie – okazało się – naruszyłam tabu, tknęłam rzecz prawie świętą. W Instytucie pracowali bowiem Polacy – patrioci, działacze Podziemia, w tym oświatowego. Ludziom tym stała się krzywda, bowiem komunistyczne władze, poczynawszy od 1945 r., prześladowały tych uczonych, powołały – niezależnie od UJ – Komisję Dyscyplinarną, niektórych uczonych przesłuchiwała Prokuratura, ukazały się dwa krytyczne artykuły w komunistycznych gazetach („Głos Ludu” i „Dziennik Polski”). Co wyniknęło z tych strasznych prześladowań? Nic. Wszyscy zostali – nawet także przez władze komunistycznej Polski – uznani za niewinnych i usprawiedliwionych. Jakim więc prawem Aneta Rybicka śmiała pisać o kolaboracji uczonych polskich z okupantem niemieckim?

Władze komunistycznej Polski nie były tak surowe, skoro uczeni krakowscy nie powędrowali do więzień i obozów pracy, zostali oczyszczeni i mogli kontynuować na Uniwersytecie pracę naukową i dydaktyczną, bowiem w PRL objęli stanowiska profesorskie (o ile ich już wcześniej nie otrzymali) na UJ. Czy władze komunistyczne, tak właśnie traktujące krakowskich uczonych wykazały się wysokim poziomem moralności, a w każdym razie wyrozumiałości wobec nich? W innych przypadkach nie spotykaliśmy się, zaraz po wojnie, z takimi objawami zrozumienia i sprawiedliwości wobec obywateli polskich. Krakowski „wyjątek” był bowiem przejawem rozumowania pragmatycznego nowej władzy, która – pozbawiona wsparcia społecznego – szukała go wszelkimi środkami wśród uczonych i intelektualistów (np. działalność prezesa „Czytelnika”, Jerzego Borejszy). Nowa władza nie zamierzała więc „zadzierać” ze szkolnictwem wyższym, w szczególności z UJ, który miał za sobą martyrologię profesorów więzionych i mordowanych w Sachsenhausen i więzionych w Dachau.

Władze Polski Podziemnej krytykowały pracę polskich uczonych w Instytucie, choćby na łamach „Biuletynu Informacyjnego”, organu Biura Informacji Politycznej Armii Krajowej (nr 48/152 z 10 grudnia 1942 r. i nr 11/166 z 18 marca 1943 r.). Od tych lat wojennych i bezpośrednio powojennych minęło dobrych kilkadziesiąt lat i wydawać by się mogło, że można już pisać swobodnie i bez skrępowania, z uwagi np. na drażliwość krakowskiego środowiska naukowego. Okazało się, że nie można; więcej – że nie wolno, że wara...



Obstają jednak przy swoim. Nie ustrzegłam się w inkryminowanym rozdziale mojej książki od uproszczeń, w szczególności nie zaznaczyłam dostatecznie wyraźnie, że spod krytyki wyjęci są ci pracownicy UJ, którzy w Instytucie pracowali na polecenie władz podziemnych. Ale suma krytyki, a nawet obelg (Kraków, 11 kwietnia 2003 r.) skłoniła mnie do dalszego drażenia problemu kolaboracji pracowników UJ z okupantem.

Dla ilustracji „pozostawania przy swoim” przytaczam niżej obszerny fragment książki Krystyny Grzybowskiej (1902-1963) pt. *Estreicherowie. Kronika rodzinna* (Kraków 1999, wydanie pierwsze pochodzi z 1969 r.). Zdaje się, że Szanowni moi Oponenci o tej książce córki Stanisława Estreichera, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, zamordowanego 28 grudnia 1939 r. w Sachsenhausen, jakby zapomnieli. Tak więc im przypominam. Cytat jest obszerny, chciałam bowiem uniknąć zarzutu tendencyjnego cytowania tekstu Krystyny Grzybowskiej.

Krystyna Grzybowska pisze:

„Z inicjatywy samego ‘gubernatora’ Franka powstał Instytut für deutsche Ostarbeit, zwany w skrócie Ostinstitut, czyli instytut dla niemieckiej pracy na Wschodnie. W wydanych w roku 1946 *Stratach nauki polskiej* pisze Kazimierz Piwarski, że badania prowadzone w tym wielkimi funduszami dysponującym ośrodku miały za cel wykazać, ‘że nie tylko Kraków, ale i cała Polska – to właściwie obszar pragermański...’, dostarczyć władzom niemieckim materiału do wyłowienia kandydatów na *Volks- i Stammdeutsche* oraz do jak najbardziej skutecznego tępienia Żydów... Kierownikiem instytutu był doktor Sommerfeldt [kierownikiem był dr Wilhelm Coblitz – A. R.], ‘polakożerca i antysemita w jednej osobie’. Przepadły w tym ośrodku niejedne zbiory i dokumenty rozkradzione przez jego członków. Co się stało z wieloma innymi w lipcu 1944 wywiezionymi oficjalnie w głąb Niemiec, o tym za chwilę.

A jednocześnie nie gdzie indziej tylko właśnie w Ostinstytucie miał siedzibę i sprawnie funkcjonował w czasie okupacji sekretariat tajnego uniwersytetu, zamelinowany, że lepiej trudno. Natychmiast bowiem po powrocie z obozu profesorowie ‘zeszli w podziemie’ i zorganizowali na nowo naukę, wykładając w mieszkaniach prywatnych. Profesora Małeckiego wydelegowali na ‘wtyczkę’, udało się wprowadzić go do Ostinstytutu, ponieważ Niemcy potrzebowali polskich uczonych dla zorientowania się i pośrednictwa.

Fakt ten oczywiście ogółowi nie był znany, a obecność w instytucie polskich uczonych potępiana. Przeraziłam się głęboko, gdy pewnego popołudnia, trzeciego – o ile pamiętam – roku okupacji, pojawił się u nas w mieszkaniu starszy pan, znany bardzo polski uczonej, i przedstawił się jako pracownik Ostinstytutu, wysłannik Sommerfeldta! Z miejsca postanowiłam kłamać. Przypomniałam sobie księży, którzy wydali tajemnicze ukrycia ołtarza mariackiego. Jeśli ja temu panu powiem prawdę, czy nie będzie się bał skłamać Sommerfeldtowi?... kto mi poręczy jego odwagę?...

O cóż chodziło?

Ni mniej, ni więcej tylko o ‘wypożyczenie’ instytutowi rękopisu litery Zet. Przedstawiono mi to jako ‘prośbę’. Przez usta profesora Sommerfeldt przyrzekał – po wykorzystaniu – zwrócić rękopis. Na szczęście niewiele o nim wiedział, przypuszczał tylko (tak mu powiedziano), że znajduje się on w rękach rodziny. Nie wiedział też co rękopis zawiera, nie orientował się w treści. Jak wyjaśnił pośrednik, interesowało naukowców niemieckich hasło ‘Żydzi’, które spodziewali się znaleźć w tym tomie. Zapytywał też Sommerfeldt, czy jest w moim posiadaniu sporządzony przez ojca odpis pomników prawa niemieckiego w Polsce.

Wahać się nie było nad czym! Mogłam tylko odmówić! Ale w jakiej formie? Jak skłamać, aby kłamstwo przekonano, a nie spowodowało rewizji i przemocy? Jasne, że zwyczajna, uczciwa odmowa pociągnęłaby za sobą interwencję gestapo.

Natchnienie przyszło błyskawicznie, bo przyjść musiało.

– Jakże się cieszę, panie profesorze – odpowiedziałam, spojrzawszy porozumiewawczo na męża – że instytut zainteresował się spuścizną po moim ojcu. Może przy pomocy instytutu będę ją mogła choć w części odzyskać.

Opowiedziałam, że ojciec, obawiając się bombardowania Krakowa, wysłał w przeddzień wojny kilka pak pełnych papierów do Lwowa. A to korzystając z bytności w Krakowie siostrzeńca matki, Jacka, który podjął się paki przewieźć do jej brata (Bogusława Longchamps), mieszkającego we Lwowie. Ten z kolei miał umieścić paki w Ossolineum – jako depozyt. Opisałam wygląd pak, podałam nawet – zajrzawszy do fikcyjnej notatki, niby to wyciągniętej z szuflady mego biurka – ich wymiary i zaznaczywszy, że na boku wymalowano czarną farbą napisy ‘własność prywatna’.

Wszystko była nieprawda, że Jacek zginął pod Kutnem, a wuj wyjechał do Francji, dlatego podałam te nazwiska. (Nie wiedząc, że jeśli o wuja chodzi, jest on we Francji, ale – w niemieckim więzieniu). Co do pak: istotnie były tak naznaczone w Ossolineum, ale zostały wywiezione na Wschód.

Mój rozmówca notował pilnie wszystkie szczegóły. Wysłuchał ze współczuciem i zrozumieniem dalszego ciągu bajeczki o tym, jak ja się martwię, jak się moja matka martwiła, jak się cała rodzina i wszyscy przyjaciele ojca martwią i że jedyna nadzieja w potężnym Ostinstitucie, o którego dobrej woli zdawałam się ani chwili nie wątpić. Jeszcze raz powtórzyłam, że się cieszę, obiecywałam 'wypożyczyć' rękopisy, jeśli się znajdują, i prosłam o wiadomość w razie odnalezienia.

Profesor odszedł, obiecując interweniować, a ja zostałam pełna niepokoju, czy uwierzą. Oczywiście, że natychmiast wyniosłam z mieszkania zagrożone materiały. Pełną po brzegi walizę przyjęli na przechowanie wierni przyjadęle z pierwszego piętra, państwo Janostwo Starzewscy. Przeleżały u nich parę miesięcy, aż do chwili, gdy ktoś z rodziny zainteresował mnie z oburzeniem:

– Jak mogliście zwracać się do Niemców o pomoc w odszukaniu rękopisów Stasia?

Cóż się pokazało? Oto biuletyn instytutu zamieścił notatkę, że, niestety zaginęły bardzo potrzebne Instytutowi rękopisy Stanisława Estreichera i że mimo wskazówek rodziny nie udało się ich odszukać. Dodano nawet śmiałą hipotezę o ich losie, tak prawdopodobną, że uwierzyłabym na pewno, gdybym nie znała zawartości pewnej fibrowej walizy.

Pozostał mi po tej sprawie pewien niesmak. Nie jest lekko okłamać człowieka nie będącego wrogiem. Ów profesor, dowiedziawszy się po wojnie prawdy, miał podobno do mnie żal za brak zaufania. Ja żywię do niego wdzięczność. Wizyta jego i przykra misja, której się podjął, nie tylko uchroniła mnie od innej, daleko przykrzejszej, bo niemieckiej wizyty, ale była ostrzeżeniem.

Nie wiem, czy Niemiec uwierzyłby moim kłamstwom. Być może. Ale gdyby zobaczył nasze zmienione w bibliotekę mieszkanie, pokoje zastawione półkami, stopy książek na podłodze – spowodowałby zapewne konfiskatę, przewiezienie książek do instytutu i Bóg sam wie co jeszcze".

Tyle Krystyna Grzybowska. Tu i parskanie nie pomoże („TP” nr 26 z 29 czerwca 2003 r.). Czy Sommerfeldt nie miał powodu chwalenia swych polskich pracowników przed przetożonymi? Czy prowadzący sumiennie – dla Sommerfeldta – wycinki z polskiej przedwojennej prasy antysemitkiej, bo był i taki oraz interesujący się, na polecenie tego Niemca, hasłem „Żydzi” w zbiorze „Zet” bibliografii Estreichera polski profesor – pośrednik nie zasługiwał na pochwałę?

Okazuje się, że polscy uczeni mogli pracy w Instytucie odmówić i nic im się nie stało: prof. Stanisław Leszczycki – piszę o nim na str. 148 mojej książki – i prof. Jan Łukasiewicz, o którym pisałam w liście do „TP” (nr 22 z 1 czerwca 2003 r.) prof. Jan Woleński.

Kolaboracja z okupantem niemieckim miała podczas II wojny światowej wymiar absolutnie marginalny. Objęła ona jednak bardzo drobną część polskiej elity intelektualnej. Powinnością historyka jest zanotowanie tego stanu rzeczy, nie zaś ogłaszanie wyroków.

Anetta Rybicka

